#13

# MiC

muzyczny informator culturalny

## MUZYCZNE PODSUMOWANIE ROKU 2016

## HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI
Przepowiednie spełnione Neila Younga

## LEONARD COHEN
Trzy notatki na marginesach śmierci

## BOB DYLAN
Jak toczący się kamień

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

GRUDZIEŃ 2016
ISSN 2299-6273

Łączymy koncertowo

# MIC

muzyczny informator culturalny


4 WSTĘPNIAK
/ #13

6 SHORTY
/ newsy, ciekawostki, informacje

8 BOB DYLAN
/ jak toczący się kamień

10 LEONARD COHEN
/ trzy notatki na marginesach śmierci

12 HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI
/ przepowiednie spełnione Neila Younga

14 GALERIA
/ zdjęcia z koncertów w NCPP

16 PODSUMOWANIE ROKU 2016
/ albumy warte uwagi

24 SZAFA GRAJĄCA
/ The Scientists „Swampland" [Błoto]


***MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie***

*www.ncpp.opole.pl*

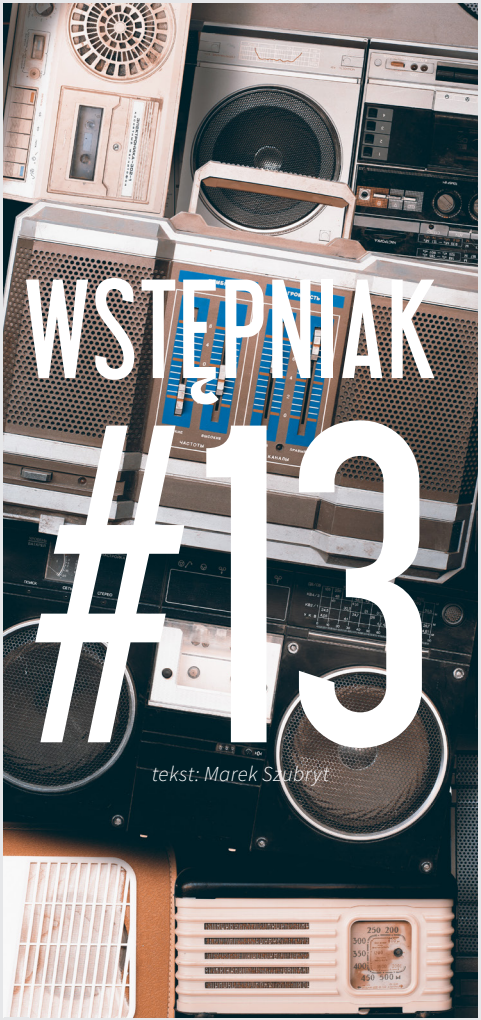

# WSTĘPNIAK #13

*tekst: Marek Szubryt*

**Trzynastego MIC-a wydajemy z końcem roku, toteż nie jesteśmy w stanie uciec od podsumowań. Na następnych stronach znajdziecie ich całkiem sporo, ale jeśli miałbym rok 2016, z perspektywy muzycznej rzecz jasna, zawrzeć w kilku zdaniach, to zwróciłbym uwagę na trzy kwestie.**

Pierwsza, smutna, związana jest z odchodzeniem. Każdy poprzedni numer zawierał sylwetkę znakomitego artysty, którego w mijającym roku zmuszeni byliśmy pożegnać. Zaczęliśmy recenzją „Blackstar" i wspomnieniem Davida Bowiego, a kończymy sylwetką Leonarda Cohena, ale jeśli chcielibyśmy wspomnieć o wszystkich, którzy w międzyczasie odeszli, nie starczyłoby MIC-ów, a może i stron. Kolejną kwestią, znacznie mniej ponurą, wobec której nie można przejść obojętnie, jest literacki Nobel dla Boba Dylana. Mówiło się o nim od lat, można nawet powiedzieć, że Dylan stał się „dyżurnym kandydatem", co zaczęło być nawet tematem szyderstw. Ów wątek na tyle spowszedniał, że nawet bukmacherzy zajmujący się typowaniem noblowskich „pewniaków" w ostatnich trzech, czterech latach przestali stawiać na Amerykanina. Aż tu nagle – bum! Wiadomość gruchnęła ze wszystkich sił, wywołując zachwyt i konsternację jednocześnie. No bo jak to, Nobla dostaje artysta, którego przybrane nazwisko kojarzy niemal każdy, ale jego „hitów" już niekoniecznie. Pieśniarz z nieznośną nosową manierą o zupełnie średnich możliwościach wokalnych, ten, który, owszem, wyrył swoje inicjały w świecie muzyki,

kontrkultury, rocka, piosenki, ale „Literatury”? Rzecz dla wielu zupełnie niezrozumiała. Tymczasem sam Dylan w wywiadach zwykł przedstawiać się słowami „Bob Dylan, poeta”, a wspomniany tu już Cohen na pytanie, jak skomentowałby przyznanie Dylanowi literackiego Nobla, w charakterystyczny dla siebie sposób powiedział, że to jak wbicie na czubku Mont Everestu tabliczki z napisem „najwyższa góra”. Jednak kwestia ta jest istotna z jeszcze jednego powodu. Po wielu latach spekulacji doceniono wreszcie osobę, która jako główną formę propagowania i przedstawiania swojej twórczości wybrała muzykę właśnie. Osobę, która zdecydowała się, że będzie mówić do ludzi ze sceny za pomocą piosenki, osobę, która wybrała tę zupełnie nieakademicką formę do prezentacji swojej twórczości. Ale – przy zachowaniu wszelkich proporcji – czyż nie tak wyglądała literatura u jej początków, czy nie w ten sposób w cywilizacjach basenu Morza Śródziemnego prezentowano swoją twórczość? Jeśli nie podczas spotkań przy akompaniamencie liry czy harfy, to po prostu, przekazując poematy z ust do ust. Albo jeszcze inaczej: czy ma dziś znaczenie, że wiele wieków później François Villon wybrał życie w drodze: podróżując z wędrownymi grupami teatralnymi, występując pośród kuglarzy, przez co bliżej mu było do awanturnika i rzezimieszka niż do poczciwego intelektualisty swoich czasów. Między innymi dlatego właśnie za jakiś czas nikt nie będzie wypominał Dylanowi formy, a sam Nobel przyczyni się do rzucenia światła na innych, wcale nie mniej utalentowanych, na tych wszystkich – by wymienić tylko angielskojęzycznych – Cohenów, Cave’ów, Waitsów lub Patti Smith, która zresztą w imieniu Dylana nagrodę odebrała. Trzecia kwestia, o której chciałem wspomnieć, to już nasze

„lokalne” poletko. Szykując się do podsumowania muzycznego, które jest bardzo subiektywnym spojrzeniem na to, co w mijającym roku ukazało się ciekawego, zauważyłem, że dawno nie było tylu dobrych rodzimych płyt hiphopowych. Polski rap stał się przestrzenią, w której w 2016 roku działo się ogromnie dużo ciekawych rzeczy i aż skrzyło się od pomysłów. Tylko o trzech artystach wspominamy w podsumowaniu: są to znakomity Ten Typ Mes, bardzo obiecujący Taco Hemingway oraz – w moim prywatnym rankingu niedościgniony – Łona i Webber. Ale różnice są tak minimalne, że nie warto nawet o nich rozprawiać, bo to trochę tak, jakby się czepiać, że jeden dostał szóstkę, a inny tylko piątkę. Ale nie tylko na tych trzech raperach opiera się rodzima scena: warci wspomnienia i wyróżnienia są także: Bisz i Radex, PRO8L3M, R.A.U., Rasmentalism, donGURALesko czy Fisz i Emade, choć akurat ci ostatni „Dronami” (podobnie jak poprzednim „Mamutem”) zdają się mówić, że coraz śmielej patrzą w inną stronę. To oczywiście tylko niektóre nazwiska, ale życzyłbym sobie, aby artyści z innych nurtów mieli tyle do powiedzenia, nie zabierając sobie ani nie pożyczając od siebie ani jednego słowa czy nuty. Chcąc jednak być fair, należy również wspomnieć, że spory boom panuje również na scenie elektronicznej i nie licząc dużych, docenionych już nazwisk, które kolejnymi albumami ugruntowały swoją pozycję, w blokach startowych stoją także nowi gracze. Ale o nich, odsiewając gapowiczów niesionych przez wznoszącą się falę, usłyszycie pewnie w przyszłym roku. Czego, pośród masy innych muzycznych doznań, Wam życzę.

# SHORTY

## OSTRE CIĘCIE U BEATRYCZE

Wnuczka Elżbiety II, księżna Beatrycze zorganizowała w Windsorze przyjęcie, które swoim krótkim występem uświetnili Ed Sheeran i James Blunt. Podczas swojego występu Blunt zażartował, że zawsze marzył o tytule szlacheckim. Księżna nie czekała długo i ochoczo sięgnęła po miecz, aby „mianować" artystę owym tytułem. Na drodze jakże ciężkiego oręża stanęła… twarz Eda Sheerana. Muzyk trafił do szpitala z raną ciętą policzka, nie obyło się bez szycia. Swego czasu Sheeran dostał pamiątkowy miecz od producentów „Gry o tron". Oby nie pomyślał o rewanżu.

*Michał Mościcki*

## CZAS PREZENTÓW

Jeśli trzymacie w rękach tego MIC-a, to znaczy, że święta tuż, tuż. A więc spieszymy z podpowiedzią prezentową, taką, z której zarówno duży, jak i mały będzie miał sporo frajdy. Firma Lego wypuściła bowiem na rynek zestaw klocków zatytułowany „The Beatles – Yellow Submarine", w którym znajdujemy oczywiście żółtą łódź podwodną oraz słynną czwórkę z Liverpoolu. Życząc miłej zabawy, zastanawiamy się, czy to jednorazowy wybryk, czy raczej początek całej serii.

*Rafał Czarnecki*

## PIŁEŚ? TO SŁUCHAJ!

Oddział policji z kanadyjskiego miasta Kensington znalazł sposób na kierowców, którym zdarza się jazda na podwójnym gazie. Poza mandatem i aresztem karą będzie… słuchanie płyty zespołu Nickelback. Nie posiadamy informacji, jak wpłynęło to na trzeźwość kierowców, ale z pewnością zastanowilibyśmy się sześć razy przed odpaleniem samochodu po spożyciu. Kto by pomyślał, że to w Kanadzie tortury zostaną oficjalnie przywrócone…

*Michał Mościcki*

## NOWY REKORD

Pod koniec listopada nową płytę wydał The Weeknd. Sądząc po pierwszych reakcjach, jej przyjęcie wśród słuchaczy będzie bardzo entuzjastyczne. Serwis Spotify poinformował (bez podania konkretnych liczb), że album „Starboy" w pierwszym dniu odsłuchu zaliczył więcej odtworzeń niż jakiekolwiek wydawnictwo wcześniej. Dobry prognostyk.

*Rafał Czarnecki*

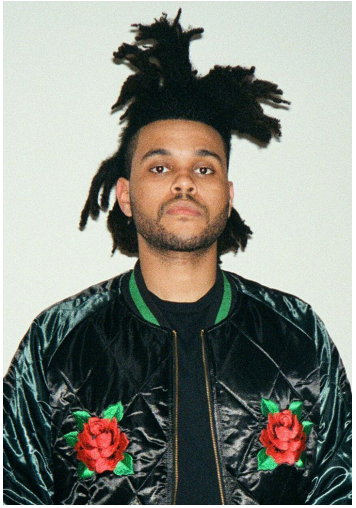

## WINYL ÜBER ALLES

Krążą pogłoski, że wraz z rozwojem cyfrowych nośników muzyka sprowadzona została tylko do niefizycznej listy plików lub – o zgrozo – playlisty na YouTube. Tymczasem, jak podaje Entertainment Retailers Association (ERA), sprzedaż płyt winylowych w Wielkiej Brytanii w roku 2016 po raz pierwszy przebiła sprzedaż empetrójek. W 2015 roku na pliki cyfrowe Brytyjczycy wydali 4,4 mln funtów, natomiast na winyle 1,2 mln. W roku 2016 ten stosunek wyniósł już 2,1 mln do 2,4 na rzecz winyli. Jakby tego było mało, w połowie grudnia jak grom z jasnego nieba uderzyła wiadomość, że Biedronka szykuje sprzedaż gramofonów (wygląda podejrzanie) oraz płyt winylowych, wśród których znalazło się kilka zacnych tytułów. O przystępnych cenach chyba nie muszę wspominać? Pora umierać czy otwierać szampana?

*Marek Szubryt*

# DOMOWE MELODIE

04.03.2017 / SALA KAMERALNA NCPP

START 20:00

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL I WWW.KUPBILECIK.PL

JAK TOCZĄCY SIĘ KAMIEŃ

# BOB DYLAN

*tekst: Bartosz Suwiński*

**BOB DYLAN ZADEBIUTOWAŁ W 1962 ROKU. ROK PÓŹNIEJ GRAŁ JUŻ NA FOLKOWYM FESTIWALU W NEWPORT SOLO ORAZ Z PETEREM SEEGEREM I JOAN BAEZ. PAN Z HARMONIJKĄ I GITARĄ, KTÓRY POSTANOWIŁ OPOWIEDZIEĆ ŚWIAT.**

Idzie swoją ścieżką. Wydaje wybitne płyty: „Highway 61 Revisited" (1965), „John Wesley Harding" (1967), „Blood on the Tracks" (1975), „Desire" (album, do którego wkładkę napisał Allen Ginsberg) (1976), „Oh Mercy" (1989), „Time Out of Mind" (1997) czy „Tempest" (2012). Cały czas kontestuje ustalony porządek rzeczy i hołubi postawę buntownika, w którym dziecięca żarliwość stale bywa podsycana przez gitarowy akord i harmonijkowe dźwięki. Wiele z jego utworów zaczęło żyć własnym życiem, odkleiło się od Dylana i powędrowało w świat. Są utwory – jak w wypadku chociażby „All Along The Watchtower" – które bardziej znamy z wykonania innych artystów, w tym wypadku Jimiego Hendrixa. Młody muzyk, zapatrzony w nestora folkowej amerykańskiej sceny Woody'ego Guthrie, zaczyna pisać piosenki, nie uciekając od tematyki dołów społecznych, pisząc o tematach ważkich i nieprzyjemnych. Odwołując się do bogatej metaforyki i nie stroniąc od literackich konotacji (Rimbaud, Thomas, Coleridge, Melville, Browning, Szekspir), bardzo często zapożyczając biblijne idiomy. Przemierza swój kraj wzdłuż i wszerz, opisując miejscowy koloryt i przepastne przestrzenie dzikich, nieoswojonych krajobrazów, surowych jak mężczyźni doświadczeni przez życie, którym los nie szczędził kopniaków. Jest blisko nieskończoności amerykańskich bezdroży, mówi zaciekle o równości i tolerancji, wolność traktując jako najwyższą wartość i jedyne powołanie artysty. Jak przystało na pielgrzyma i wędrowca, bardzo często

w jego twórczości przewija się temat samotności, prostych ludzi ciemiężonych pracą, dla których jedynym wytchnieniem jest chwila własnego wyizolowania, oderwania od płaskiej, chropowatej rzeczywistości. W wydanych przez siebie Kronikach powie wprost, że jego pieśni „nie zawijały łagodnie do portu". Dna rzeki usłane trupami, zatęchłe stacje benzynowe z przegranymi ludźmi, pijacy, matki topiące własne dzieci, przemytnicy i bimbrownicy, robotnicy wyzuci z godności – to wszystko historie i postaci zaludniające tekstowy świat Dylana.
W piosence „Not Dark Yet" (w tłumaczeniu Filipa Łobodzińskiego) śpiewa:

*Spać się nie da w ten upał, coraz dłuższy jest cień*
*czas gdzieś ucieka, siedzę tu cały dzień*
*czuję, że wszystko stoi, duszę ze stali mam*
*nie zdołało zabliźnić światło z nieba mych ran*
*zrobiło się ciasno, podziać się nie ma gdzie*
*mrok jeszcze nie zapadł, ale zbliża się*

Bob Dylan jest twórcą, który opowiada Amerykanom świat ich bolączek i marzeń, świat marginesów i głównych arterii, ludzi wyrzuconych poza nurt życia i tych z samego centrum zdarzeń. Przede wszystkim interesują go historie wykolejeńców, trampów, życiowych rozbitków, którzy wypadli poza burtę uładzonej rzeczywistości, trwając pośród wzburzonego morza niespokojnych i niepewnych dni. Dylan z czułością przygląda się bezwzględnym rzezimieszkom i drobnym złodziejom, ludziom, którzy byli na bakier z prawem i nie potrafili się pomieścić w ramach zwyczajnej rzeczywistości.
Z lirycznym zacięciem opisuje brudy Ameryki, zatłoczone autostrady, przydrożne motele i ludzi z przetrąconymi grzbietami, dla których życie straciło jakikolwiek blask, a stało się wyrokiem, wyrokiem trwania w beznadziei. Ale jest jeszcze inny Dylan. Ironiczny i zabawny. Piszący o przyjaźni i miłości, jako jedynej sile, która jest w stanie pogodzić zwaśniony świat. Bruce Springsteen, który jest dla swego pokolenia autorem (podobnie jak Dylan), który opowiada i diagnozuje dzień dzisiejszy, moralizuje i jest trochę sumieniem narodu, powiada: „Presley uwolnił nasze ciała, a Dylan nasze dusze". Kto nie słyszał takich szlagierów jak: Like a Rolling Stone, Knockin' On Heaven's Door, The Times They are A Changin, Blowin' In The Wind czy Desolation Row? Sami Państwo widzą! Dylan miał wiele empatii dla życiowych banitów, dla outsiderów, ludzi, którzy płyną pod prąd oczekiwań i społecznych norm. Są nieprzystający i wyłamują się z ogólnie przyjętych porządków. Piosenki Boba Dylana opowiadają o kondycji człowieka XX wieku, o jego zmartwieniach i rozterkach. Dylan bardzo często diagnozował stan amerykańskiej kultury, przyglądał się upozowanej, pstrokatej rzeczywistości, która pod jaskrawą powierzchnią skrywała pustkę, smutek, niepokój i lęk. Dylan pisze o człowieku i jego zmaganiach z losem, o świecie pełnym zasadzek, nieodzownej melancholii i cierpieniu wpisanym w paszport każdego podróżującego przez kolejne dni i noce. „Każdy nasz krok jest stąpaniem po linie / Twoje i moje dni są policzone / Czas się nawarstwia, a my się szamoczemy / Zamknięci w miejscu gdzie nie ma ucieczki" (Mississippi). Andrzej Stasiuk powie: „Dylan nie jest tylko poetą. On jest artystą. Stworzył nie tylko własną wizję świata, ale przede wszystkim stworzył samego siebie. Od nowa i z niczego".
Z kolei Jerzy Jarniewicz w wydanej właśnie książce „All you need is love. Sceny z życia popkultury" rozdział poświęcony Dylanowi kończy wyznaniem: „Dylana poza sceną i poza płytami nie ma. On jest rockiem wcielonym, poezją kochanków i złodziei". Dylan wspiął się na szczyty popularności, dostąpił odrzucenia, niechęci, meandrował między szczytami a nizinami, szukając dla siebie odpowiedniego wyrazu. Co najbardziej cieszy z powodu nagrody dla Dylana? Ano to, że Nagroda Nobla dla Boba Dylana otwiera przestrzeń dialogu i kieruje punktowe światło na twórczość równie dobrych poetów piosenki, jak chociażby Tom Waits, Nick Cave czy przede wszystkim Leonard Cohen, którego nowa płyta „You Want It Darker" jest wydawnictwem niezwykłej urody. W pewnym sensie stawia znak równości pomiędzy pieśniami a poezją. Bob Dylan – autentyczny i niekoniunkturalny, od 1961 roku na stałe mieszkający w Nowym Jorku, stworzył pieśni i ballady, protest songi, poruszające kwestie ludzi pracy, sprzeciwiający się wykluczeniu na wszelkich możliwych poziomach. Dylan to artysta niedający się zaklasyfikować, stale poszukujący nowej drogi, poszukujący nawet za cenę nierozumienia. Ciągle w ruchu, próbujący znaleźć swój horyzont wrażliwości. Jack Kerouac w powieści „W drodze" (tłum. A. Kołyszko) pisze słowa, za którymi można by dziś postawić Boba Dylana: „Facet wypełnia pustą przestrzeń treścią naszego życia, wyznaniami prosto z trzewi, wspomnieniem różnych myśli, starymi numerami w nowym brzmieniu. Musi dmuchać przez mosty, zawracać i robić to z tak bezbrzeżnym uczuciem zgłębiania duszy dostrojonym do danej melodii, aż wszyscy zrozumieją, że to nie melodia się liczy, tylko TO COŚ…".

# LEONARD COHEN

TRZY NOTATKI NA MARGINESACH ŚMIERCI

*tekst: Sławomir Kuźnicki*

## 1 / SZERSZY KONTEKST

Informację o przyznaniu 13 października 2016 r. literackiego Nobla Bobowi Dylanowi kanadyjska pisarka Margaret Atwood skwitowała z charakterystycznym dla siebie chłodnym sarkazmem. Wypowiedziała dwa proste, acz wymowne słowa: „Za co?". Ta sama pisarka w napisanym przez siebie w 1972 r. kompendium wiedzy o literaturze kanadyjskiej pt. „Survival" (czyli Przetrwanie) kilka stron poświęca swojemu rodakowi Leonardowi Cohenowi. Tym samym zalicza jego twórczość – wtedy głównie prozatorską – do kanonu literackiego tego leżącego w kulturowym cieniu potężnego sąsiada kraju. O tym, że Cohen Nobla już nie dostanie, wiemy nie od 7 listopada, dnia jego śmierci, ale właśnie od 13 października. Choć niektórym stwierdzenie to może wydać się kontrowersyjne, Nobel dla Dylana zamknął taką możliwość dla Cohena. A uważam, że jest on poetą, który na nagrodę tę zasługiwał jeśli nie bardziej, to przynajmniej w takim samym stopniu. Z drugiej strony trzeba też wyraźnie stwierdzić, że tak samo jak amerykańskiemu bardowi, tak i jemu byłaby ona w gruncie rzeczy do niczego niepotrzebna.

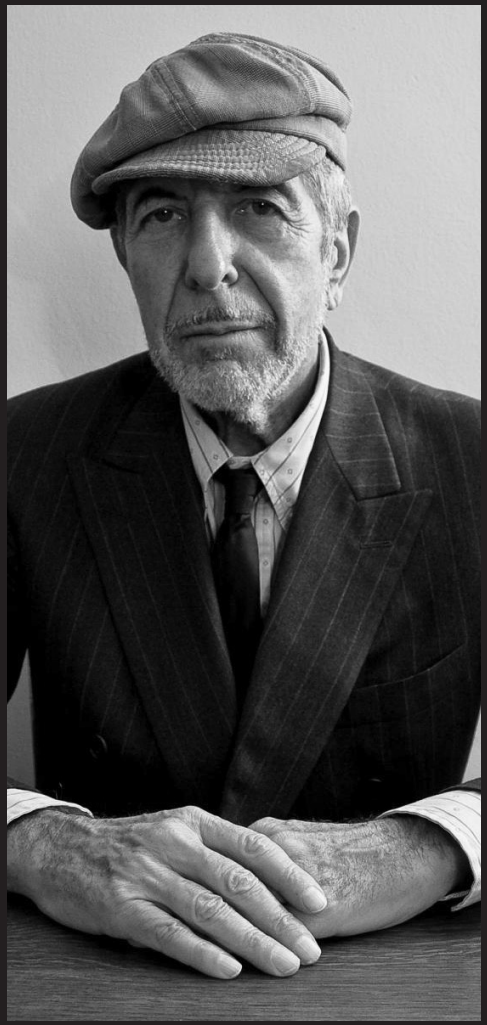

## 2 / OSOBIŚCIE

Jest rok 1994, oglądam „Urodzonych morderców", najnowszy film Olivera Stone'a, zachwycając się jego szokującą fabułą i nowatorską stroną wizualną. Ale rzeczą, której absolutnie nie uda mi się wyrzucić z głowy, jest wyprodukowana przez Trenta Reznora muzyka. Stanowiące mniejszość fragmenty typowo ilustracyjne przeplatają się tu z piosenkami rockowymi: i tymi już doskonale znanymi, i tymi, które takimi właśnie się stają. Film rozpoczynają majestatyczne takty „Waiting for the Miracle", kończy krocząca, obrazoburcza „The Future", a jeszcze gdzieś w środku obrazu słyszymy Anthem. Wszystkie te utwory zostały napisane i wykonane przez Leonarda Cohena, wszystkie pochodzą z jego wydanego dwa lata wcześniej albumu „The Future". Wrażenie jest piorunujące. Czy to ten człowiek, który pod koniec lat sześćdziesiątych sam z gitarą stawał na scenie hipisowskiego festiwalu na wyspie Wright, by porwać swoim kameralnym występem publiczność i tym samym stać się jednym z symboli Lata Miłości? Czy to ten dojrzały już mężczyzna, który w latach osiemdziesiątych na tle synthpopowej muzyki swoim niskim, podbitym erotyzmem głosem deklarował, że miłość jest niemożliwą do wyleczenia chorobą? Czy też ten, który w latach dziewięćdziesiątych całe pięć lat spędził w ośrodku buddyjskim, z własnej woli odcinając się od otaczającego go blichtru świata? „Urodzeni mordercy" cudownie komplikują jego obraz. Na tle filmowej przemocy zimne ballady Cohena wydają się jak najbardziej na miejscu. Cohen znajduje swoje kolejne miejsce, ja znajduję swojego kolejnego Cohena.

## 3 / IDZIE ZIMA

Jak pisałem już na łamach MIC-a, wkraczamy obecnie w smutny czas, kiedy to artyści kładący fundamenty pod muzykę rockową zaczynają od nas odchodzić nie sporadycznie, ale wręcz gremialnie. Kto wie, czy roku 2016 nie będziemy kiedyś postrzegać jako pierwszego w całej serii: Bowie, Prince, Cohen. Rok ten to również czas wielkich płyt-pożegnań, nie zawsze równoległych z rzeczywistymi śmierciami. Mam tu na myśli głównie trzy takie wydawnictwa: „Blackstar" Bowiego, „Post Pop Depression" Iggy'ego Popa (przypadek to szczególny, gdyż Pop żyje, co jednak w żaden sposób nie umniejsza wartości „testamentowej" wydawnictwa) oraz „You Want it Darker" Cohena. Kiedy kanadyjski bard komponował te dziewięć pieśni, już przeczuwał, już wiedział, już nie próbował się łudzić. I my złudzeń nie mamy: słuchamy jego ostatnich słów, ostatniej woli. Razem z nim czekamy na śmierć, razem z nim – niczym z Orfeuszem – schodzimy do Hadesu, by tym razem już stamtąd nie powrócić. Chcieliśmy mroku, chcieliśmy głębi? No to mamy. Zostaje żal i pustka niemożliwa do wypełnienia. Chyba że muzyką. Płomień gaśnie, a światło – jak mówi poeta – podróżuje dalej.

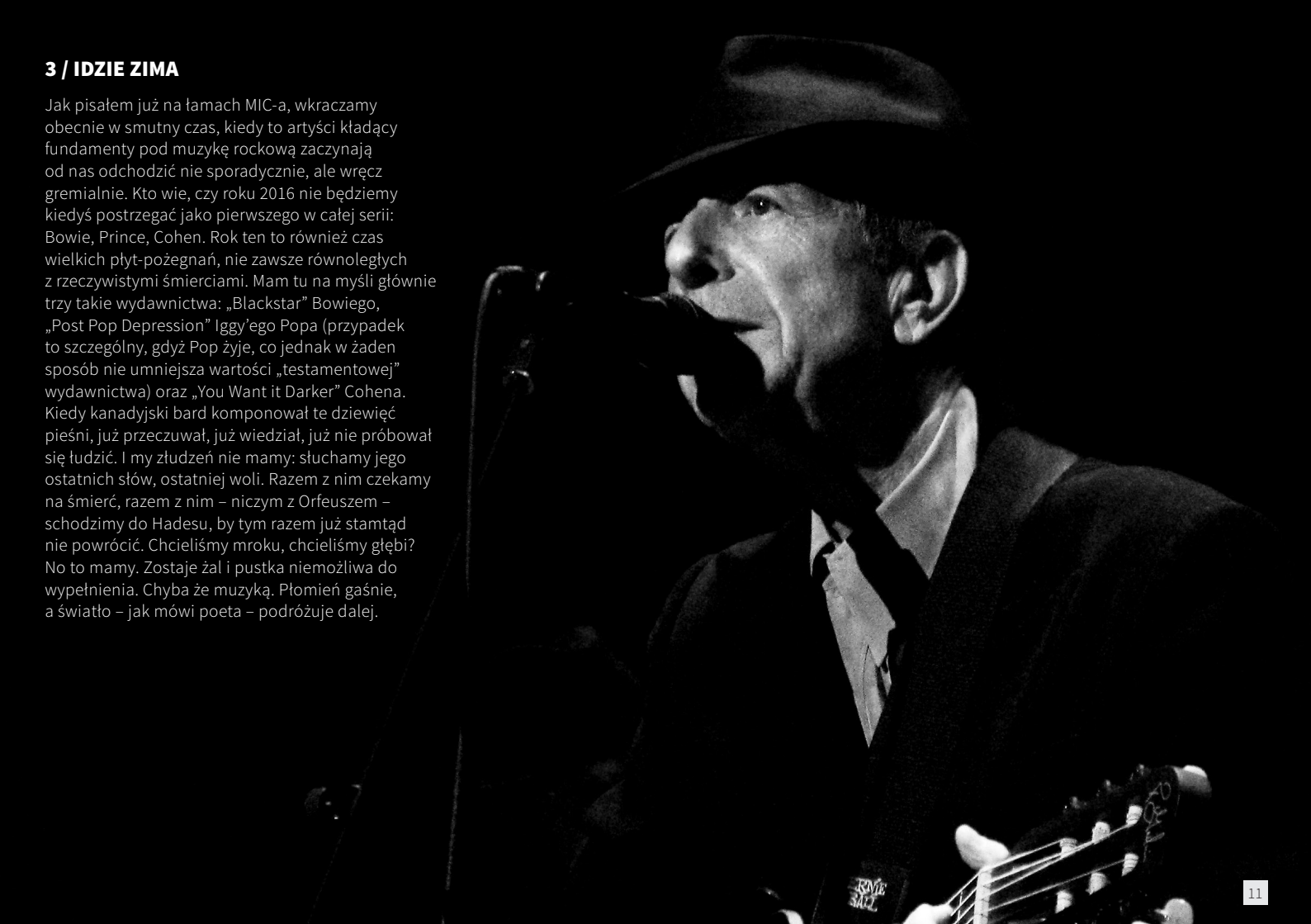

# PRZEPOWIEDNIE SPEŁNIONE NEILA YOUNGA

*tekst: Michał Mościcki*

**OPOWIEŚĆ O SPOTKANIU DWÓCH WIELKICH WOJOWNIKÓW: MONTEZUMY I HERNANA CORTEZA ZAINSPIROWAŁA NEILA YOUNGA, JEDNEGO Z NAJWIĘKSZYCH „SZAMANÓW" ROCK AND ROLLA, DO SKOMPONOWANIA PIEŚNI „CORTEZ, THE KILLER", KTÓRA POJAWIŁA SIĘ NA PŁYCIE „ZUMA" Z 1975 ROKU.**

Przełom roku to zazwyczaj czas podsumowań (tych muzycznych w trzynastym numerze MIC-a cała masa). Nowy rok to również oczekiwanie na to, co nadejdzie. Dziś niepokój się wzmaga, bo świat stoi w obliczu wielkich przemian, zarówno politycznych, demograficznych, jak i klimatycznych, a przynajmniej w takim przekonaniu utrzymują nas media. Jeśli pilnie śledzić doniesienia, to okazuje się, że nadchodzi bliżej nieokreślony zwrot, który wywróci zastany porządek świata. Daty „magiczne", jak choćby rok 2000, zdarzały się nader często, a według przepowiedni wszelkiej maści Nostradamusów już dawno powinniśmy zniknąć z powierzchni Ziemi, a i sama planeta powinna rozlecieć się w pył. W naszych obawach nie różnimy się zbytnio od tych, którzy byli przed nami.

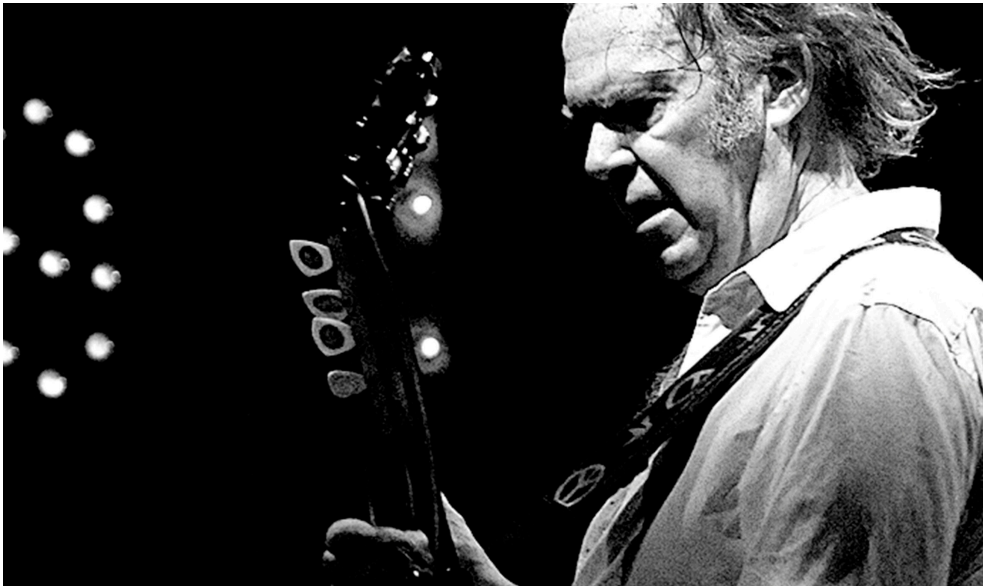

Wiszące nad światem widmo apokalipsy i zmian obecne było w wierzeniach wielu kultur i religii, niezależnie od szerokości geograficznej. Czasem te „proroctwa" się sprawdzały, a w zasadzie dostosowywano fakty do treści przepowiedni. Nie inaczej było z przybyciem konkwistadorów do wybrzeży Meksyku. Opowieść o spotkaniu dwóch wielkich wojowników: Montezumy i Hernana Corteza zainspirowała Neila Younga, jednego z największych „szamanów" rock and rolla, do skomponowania pieśni „Cortez, the Killer", która pojawiła się na płycie „Zuma" z 1975 roku. „Cortez the Killer" to taki utwór, który zabiera nas do świata, którego już nie ma, a sam w sobie może być osobną opowieścią. To niemal ośmiominutowa podróż ponad królestwem Azteków, do którego przybywa zdobywca Hernan Cortez, burząc wszystko, co owa cywilizacja osiągnęła. Montezuma, „ze swymi liśćmi koki i perłami", był władcą tych ziem i witał Corteza jak boga, gdyż tak stało w przepowiedni. Władającego silną ręką Montezumę otaczała świta astrologów, wróżbitów i szamanów, którzy przepowiadali dla niego przyszłość i starali się przewidzieć, co przyniesie los. Wierzono, że Quetzalcoatl, jeden z najważniejszych bogów, który został wrzucony na tratwę i wypędzony na wschód, powróci w „roku jednej trzciny", który przypadał raz na 52 lata. Bóstwo miało mieć wygląd niecodzienny: białą skórę, brodę, czarne odzienie i przypłynąć ze wschodu. Zbieg okoliczności sprawił, że gdy zwiadowcy króla Azteków wypatrywali na całym wybrzeżu przybycia boga zemsty i cierpienia, na ląd schodził właśnie brodaty Hiszpan wraz ze swymi wojakami. Uznany za bóstwo został przyjęty z należną czcią i obdarowany bardziej niż hojnie. Gdy Montezuma spotkał się w cztery oczy z konkwistadorem, zrozumiał, że Cortez to nie Quetzalcoatl. Było już jednak za późno. „Morderca Cortez", gdy tylko sobie uświadomił, jakimi bogactwami dysponują azteckie świątynie, postanowił podbić nowe ziemie, mordując, paląc i plądrując napotkane osady. Znany ze swej bezkompromisowości Young potrafi jak nikt budować klimat swych utworów. Sącząca się, nieco balladowa melodia, wolny rytm i pojawiające się gdzieniegdzie mocniejsze akcenty łączą się idealnie z tekstem opiewającym piękne kobiety i mężnych młodzieńców żyjących w krainie, gdzie nienawiść była tylko legendą, dopóki nie przybył Hernan Cortez ze swoimi galeonami i muszkietami. Utwór płynie, kończąc się dość nieoczekiwanie, jak głosi legenda – z powodu taśmy, która nieoczekiwanie skończyła się podczas sesji nagraniowej. Prostota i rytm utworu sprzyja „jamowaniu" podczas wykonywania, co poza samym Youngiem czyniło wielu artystów, od Dave'a Matthewsa, przez zespoły heavymetalowe, aż po Jima Jarmuscha. Opowieść o Montezumie to refleksja nad światem, który bezpowrotnie przeminął, ale to również rzecz o nienawiści, chciwości i przekonaniu jednych o wyższości nad drugimi. To w końcu historia o tym, że niektóre proroctwa same się spełniają, a niektórym ludzie pomagają z całych sił. Pozostaje życzyć sobie mniej spełnionych „przepowiedni".

## DONGURALESKO

**01/10/2016** fot. Roman Rogalski

## FISZ EMADE TWORZYWO

**12/11//2016** fot. Patrycja Wanot

## DECAPITATED

**10/10/2016** fot. Roman Rogalski

## DR MISIO

**02/12/2016** fot. Roman Rogalski

## TACO HEMINGWAY

**25/11/2016** fot. Patrycja Wanot

## WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET

**11/12/2016** fot. Patrycja Wanot

# Podsumowanie roku 2016

SUBIEKTYWNE SPOJRZENIE NA KILKA WYDANYCH W MIJAJĄCYM ROKU ALBUMÓW

## MICHAŁ MOŚCICKI

### A TRIBE CALLED QUEST

„We Got It From Here… Thank You 4 Your Service”

O ich powrocie na scenę po osiemnastu latach milczenia krążyły legendy. W końcu się udało, a wszelkie obawy towarzyszące innym spektakularnym powrotom odeszły w niepamięć wraz z materiałem, który przedstawili światu. To swoista „machina czasu”, która zabiera nas do złotej ery hip-hopu, ale nie jest to jedynie podróż sentymentalna. ATCQ oferują dużo więcej, beaty są niezwykle świeże, skrojone na miarę, odpowiadające standardom AD 2016. Nie ma tu jednak efekciarstwa, a jedynie żywa radość z tworzenia i zabawy dźwiękiem oraz słowem. Nie zabrakło znakomitości, co tylko potwierdza zaufanie do nowojorczyków. Gdy na jednej płycie znajduje się miejsce dla Eltona Johna, Jacka White’a, Busta Rhymesa czy Andre 3000 i Kanye Westa, to musi być ciekawie. Radość z obcowania z „We Got It…” niestety mąci fakt, że premiery albumu nie doczekał Phife Dawg, jeden z członków kolektywu. To gorzki smak powrotu, który umilić można sobie przyciskiem „play”. Zalecane.

### PJ HARVEY

„The Hope Six Demolition Project”

Gdy wydawało się, że euforycznego przyjęcia „Let England Shake” nigdy nie uda się powtórzyć, okazało się, że istnieją artyści, którzy dworują sobie z naszych oczekiwań i założeń, serwując nam „bezczelnie” kolejne doskonałe albumy. Polly Jean Harvey z pewnością do nich należy. Otrzymujemy płytę niezwykle dojrzałą, ale i wymagającą. Potrzeba dłuższej chwili, żeby dotrzeć do wszystkiego, co oferuje. Muzyczne poszukiwania doskonale sprzęgły się z podróżami artystki do krajów byłej Jugosławii, Afganistanu i USA, a opowieści zawarte na albumie są ich odzwierciedleniem. To swego rodzaju muzyczny reportaż pełen gorzkich, ironicznych obserwacji zatopionych w dźwiękach inspirowanych muzyką całego świata. Wszystko pozostaje jednak niezwykle „korzenne”, niemal bluesowe, a podążanie za PJ jest przyjemnością samą w sobie.

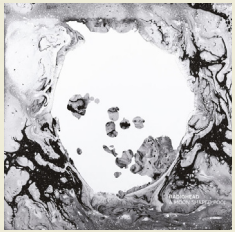

### RADIOHEAD

„A Moon Shaped Pool”

Ile trzeba mieć pewności siebie, żeby pomimo antymarketingowych działań odnosić takie sukcesy, wiedzą jedynie panowie z Radiohead. Ale tu receptą jest po prostu talent i wizja tego, co chce się słuchaczom przekazać. Dostarczyli nam album pełen głębi, którą kojarzyć należy wyłącznie z wrażliwością Thoma Yorke’a. Oczywiście na brzmienie całości pracowało więcej osób, ale kraina, w którą wkraczamy, odpalając krążek, zdaje się mieć tabliczkę z nazwiskiem wyżej wymienionego jegomościa. Wibrujące przestrzenie i ambienty doskonale przenikają się z brzmieniem akustycznym – czystym i klarownym. To wszystko, co mogło zatwardziałych fanów uwierać w poprzednich albumach, odeszło w niepamięć, a ci, którzy odkryli Radiohead przy „The King Of Limbs”, również nie będą rozczarowani. Balans – to odpowiednie słowo, choć to, jak krążek hipnotyzuje, zdaje się temu przeczyć. Jedynie takich paradoksów sobie życzmy.

### BALKAN BEAT BOX

„Shout It Loud”

Rzadko radość sprawia album, o którym powiedzieć można, że jest przewidywalny. W tym przypadku oznacza to po prostu sprawdzoną formułę, która gwarantuje solidną jakość. Nie są to „odgrzewane kotlety” – nowe kompozycje Balkan Beat Box biją świeżością i wskazują na producencką czujność w zakresie aktualności brzmienia i tego, co obecnie najciekawsze w muzyce rozrywkowej. To reggae, hip-hop i dancehall w mariażu z zaadaptowanym na potrzeby projektu klezmerskim brzmieniem muzyki żydowskiej. Energia i witalność z dodatkiem zdrowego dystansu do rzeczywistości

to znaki szczególne nowojorczyków. Jakże cenne pod naszą szerokością geograficzną. Uważajcie jednakowoż na Dybuka, bo zbyt głośne słuchanie BBB jest w stanie obudzić umarlaka.

## MAVIS STAPLES
### „Livin' On A High Note"

Istnieją artyści, których ząb czasu nie zamienił w odcinające kupony od wcześniejszych dokonań kurioza, a wręcz przeciwnie – z każdym albumem rozkwitają. Johnny Cash czy Leonard Cohen są doskonałymi przykładami, ale za wzór stawiać można również Mavis Staples, ikonę muzyki soul i gospel, obecną „w branży" od lat pięćdziesiątych! Kluczem do sukcesu w tym przypadku, podobnie jak u ww. jegomościów, są producenci i autorzy. Artystka, kierując swą karierą, podjęła spore ryzyko, wiążąc się na pewnym etapie z niezależną wytwórnią ANTI-, co ostatecznie opłaciło się z nawiązką. Na jej piętnastym albumie wśród autorów znajdziemy między innymi Nicka Cave'a, Justina Vernona (Bon Iver), Bena Harpera czy Aloe Blacca. Co więcej, owe tuzy nie próbują „dopasować" głosu gospodyni do swoich pomysłów, a z niezwykłym wyczuciem napisali pieśni dla niej idealne. Piękne harmonie wokalne, klasyczne, soulowe dźwięki i nieskończona radość Staples biją z tego albumu. Nawet do „najciemniejszej" kompozycji Cave'a potrafiła wpuścić sporą dawkę słońca, a to nie lada wyzwanie. „Chcę dać ludziom trochę radości, zbyt długo sprawiałam, że płakali" – wyznała. Zadanie wykonane, pani Staples!

**DOBRE, BO POLSKIE**

## TEN TYP MES
### „AŁA"

„Taki as, a ma więcej słabych punktów, więcej lęków niż wielu z Was" – wyśpiewał na poprzedniej płycie Mesa Andrzej Dąbrowski. Rzecz jasna nie tyczyło się to wartości artystycznej prezentowanego materiału, a zdaje się, że jedynie naprowadzało słuchacza na to, co wydarzy się na kolejnym albumie. Tu muzyka broni się doskonale, a gorzkiej diagnozy świata wewnętrznego i tego, co dookoła, jest znacznie więcej niż dotychczas. Płyta jest konglomeratem wielu stylistyk, pełnym nieoczywistych rozwiązań muzycznych, które potrafią niezwykle intrygować, a wielu przyprawić o zawrót głowy. Jeśli lubicie swoistą neurotyczność i emocjonalne rozedrganie Typa, a jego żonglerka słowem i brzmieniem nie sprawia, że wariujecie, to dostajecie „produkt" niemal idealny. Jeśli jest inaczej, to zdecydowanie zrobi Wam „AŁA".

**DEBIUT ROKU**

## THE FRIGHTNRS
### „Nothing more to say"

W zasadzie stempel wytwórni Daptone Records sam w sobie powinien wystarczyć za rekomendację. Niemniej warto zwrócić uwagę na nowojorskich debiutantów, bo ich styl nieco różni się od pozostałych artystów labelu. „Nothing more to say" to mocno osadzone w rocksteady i wczesnym reggae kompozycje, ale to przede wszystkim pięknie zaśpiewane piosenki, chwytające za serce falsety i harmonie wokalisty Dana Kleina, a w końcu ciepłe, analogowe brzmienie rodem z lat sześćdziesiątych. Jeśli bliskie Wam wszystko, co wyszło spod „igły" Studio One, czyli „jamajskiego Motown", to pokochacie załogę z Brooklynu. Niestety historia zespołu ma niesłychanie smutny koniec. Ich debiut będzie ich ostatnią płytą, bo latem, po heroicznej walce ze stwardnieniem zanikowym bocznym zmarł wspomniany wyżej wokalista zespołu. Po prostu „Nothing more to say".

**ŻENUA ROKU**

Pierwotnie miał się tutaj znaleźć nieprawdopodobny, niesamowity wręcz majstersztyk wśród telewizyjnych programów rozrywkowych, mianowicie „Studio Yayo". Po dłuższym zastanowieniu jednak pomysł upadł – pastwić się nad tym kuriozum byłoby zadaniem zbyt łatwym. Na szczęście z odsieczą przyszli ekskoledzy pana „Yayo", mianowicie kabaret OT.TO. Panowie dostali swoje pięć minut na antenie publicznej telewizji i zaprezentowali swój „show". Już sama nazwa programu – „Żarty i bardy" – wystarczyłaby za recenzję. Jeśli kojarzycie pamiętne „zasmażki", to pomnóżcie ten poziom żartu razy sto i wtedy zrozumiecie, o czym mowa. Ot, to.

## RAFAŁ CZARNECKI

### GOGO PENGUIN
„Man Made Object”

Manchester na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zasłynął sceną muzyczną, która łączyła alternatywnego rocka z muzyką taneczną. Scena ta nazywana była Madchester, a jej flagowymi okrętami były Stone Roses i Happy Mondays. Dlaczego o tym piszę? Bo jak by nie patrzeć, GoGo Penguins z tej zacnej tradycji zaczerpnęli więcej niż tylko miejsce zamieszkania. Na pierwszy rzut oka wydają się klasycznym, akustycznym triem jazzowym (perkusja, bas, fortepian). Ale kiedy ich posłuchamy, te skojarzenia nie będą już tak jednoznaczne. Panowie w swojej muzyce unikają rozbudowanych harmonii, a stawiają raczej na puls i trans. Które okraszone są fortepianowymi pejzażami. Trudno się zresztą dziwić, jeśli wśród swych inspiracji wymieniają takich wykonawców jak: Aphex Twin, Brian Eno czy Massive Attack. Płytę wydała legendarna amerykańska jazzowa wytwórnia Blue Note Records. Czyli może jednak to jazz? Zostawmy to, bo istotniejsze jest, że „Man Made Object” to kawał naprawdę intrygującej i ciekawej muzyki.

### SUEDE
„Night Thoughts”

Britpop ma wielu ojców, a jednym z nich z pewnością jest Suede. Po latach świetności zespołowi zdarzyło się nagrać kilka słabszych płyt, aż wreszcie grupa zawiesiła działalność na sześć lat. W 2013 r. panowie wrócili płytą „Bloodsports”. I to już był promyczek nadziei, gdyż album zebrał nie najgorsze recenzje. Pod koniec stycznia 2016 światło dzienne ujrzało najnowsze wydawnictwo zespołu; tym razem nagrał płytę, która przystaje do jego dorobku (tego fajnego). Jest przemyślaną koncepcją, której należy słuchać w całości. Dobrze wyważona między utworami gitarowymi a balladami. Album wydaje się dość duszny i ciemny, co tylko podkreślają teksty Bretta Andersona, które, jak to u niego, dotykają tematów życiowych outsiderów, przemijającej miłości, niemożności porozumienia się, ale i ojcostwa. Pewnie, że pojawia się tu miejscami trochę patosu, a sposób śpiewania Bretta Andersona jest jedyny w swoim rodzaju. No, ale, ludzie, to jest Suede. Niejeden indierockowy kocur mógłby się uczyć. Takie powroty to ja rozumiem.

### CHARLES BRADLEY
„Changes”

Jeśli do jakiegoś artysty mielibyśmy przyporządkować określenie „amerykański sen”, to myślę, że nie znaleźlibyście lepszej postaci niż Charles Bradley. Faceta, którego do sześćdziesiątki głównym zajęciem było gotowanie w knajpach, a po godzinach w tych samych podrzędnych knajpach udawanie Jamesa Browna. Ale na szczęście Charles trafił na chłopaków z Dapton Records i tym sposobem mamy już trzecią płytę artysty, która zawiera soul najwyższej próby. Podążający delikatnie w rejony funku, afro, gospel czy nawet rock’n’rolla, pełen smutku i charyzmy wokal Bradleya idealnie współgra z muzyką. Sekcja rytmiczna, sekcja dęta, chórki – wszystko zagrane jest mistrzowsko przez białych muzyków, co w prawdziwym soulu nie zawsze jest takie oczywiste. Do tego dostajemy jeszcze wisienkę na torcie w postaci wyjątkowego coveru Black Sabbath („Changes”). Orzeł soulu wciąż wznosi się wysoko.

### THE RANGE
„Potential”

Za ksywką The Range kryje się amerykański producent James Hinton. Cały czterdziestominutowy album wypełnia zgrabnie zrobiona elektronika. The Range zręcznie żongluje gatunkami, które mieszczą się pod tym pojęciem. Mamy tu więc i grime, i house, i tak teraz modne IDM oraz electropop. Ale to, co wyróżnia krążek Amerykanina, to pomysł na cały album. A o co dokładnie chodzi? Przeszukując odmęty YouTube, The Range wynajdywał osoby, którym nie udało się zaistnieć w świadomości słuchaczy. Następnie

muzyk samplował ich wokale i na tej podstawie budował utwory. Dodając do tego tytuł albumu, robi nam się całkiem ciekawy koncept. Warto znać.

## ORGANEK
### „Czarna Madonna”

Trochę się wystraszyłem po pierwszym singlu zapowiadającym nową płytę. Niby wszystko OK, ładna piosenka, ale bałem się, że całość może iść w stronę źle rozumianej przebojowości. Nie byłby to pierwszy taki przypadek w dziejach muzyki. Ale na szczęście moje obawy okazały się płonne, bo Organek zafundował nam solidny rockowy album. Większość numerów opiera się na hardrockowych riffach, ale nie brakuje dawki psychodelii, punkowej rytmiki, country czy nawet pięknej dancingowej ballady. To już kolejna płyta w tym zestawieniu, której najlepiej słuchać w całości. Jej struktura wydaje się solidnie przemyślana, ma swoje rozpoczęcie i zakończenie. Choć nie brakuje singli („Ultimo”, „Wiosna”, „Ki Czort”), które pomogą pozyskać jeszcze większą rzeszę słuchaczy. Teksty Organka operują wokół miłości i śmierci. Artysta robi to naprawdę zręcznie i z klasą. W ogóle cały album można by określić jako stylowy. Więc jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, koniecznie sprawdźcie.

**DOBRE, BO POLSKIE**

## JULIA MARCEL
### „Proxy”

Na swoim czwartym albumie Julia Marcel odważyła się śpiewać po polsku. Piszę „odważyła się”, gdyż często mam wrażenie, że polscy twórcy trochę się kryją za angielskim. Ja wiem, że angielski jest bardziej śpiewny, a i jakieś potworki słowne ujdą płazem. Ale próbą artysty, że pozwolę sobie na taką śmiałość, jest zmierzenie się z rodzimym językiem. Julia z tej próby wyszła zwycięsko. Teksty opisujące naszą cybernetyczno-konsumpcyjną rzeczywistość aż się skrzą od trafnych spostrzeżeń i lirycznych porównań. Muzycznie tego albumu nie da się zamknąć w jednej stylistycznej szufladce, choć najbardziej odpowiednią etykietką byłby alternatywny pop. Bas, gitara, perkusja uzupełniane są czasem o klawisze, a czasem smyki. Całość zamknięta jest w piosenkowej, bardzo przystępnej formie. Dobry pop ma sens!

**DEBIUT**

## SHURA
### „Nothings Real”

Jej karierę zaczął YouTube. Pierwszy singiel „Touch” wraz z delikatnie skandalizującym teledyskiem w zawrotnym tempie osiągnął 26 milionów wyświetleń. Niedługo potem otrzymała nominację do prestiżowej nagrody BBC Sound Of, która przyznawana jest przez brytyjskich dziennikarzy najbardziej obiecujących młodym artystom. W końcu nastał więc czas na pełnowymiarowe wydawnictwo, z którym artystka się nie spieszyła, bo – „Nothings Real” powstawało na przestrzeni dwóch lat. Shura sama pisze teksty, komponuje, a czasem nawet współprodukuje swoje nagrania. Przy debiucie jednak wytwórnia postanowiła trzymać delikatnie rękę na pulsie i przydzieliła artystce opiekuna w postaci Grega Kustina, czyli pana odpowiedzialnego za największe sukcesy Adele. Ale spokojnie, Shura to nie Adele i swym wokalem operuje zupełnie inaczej. Jeśli mielibyśmy szukać jakiegoś porównania, to z pewnością byłoby jej bliżej do Kylie Minogue. Cały album zanurzony jest w latach osiemdziesiątych, dostajemy więc zestaw ładnych i mądrze wyprodukowanych electropopowych piosenek. Raz łagodnie się snujących, raz podążających w bardziej taneczne rejony. Uroczy album.

**ŻENUA ROKU**

## FISHER FEAT. RUTKOWSKI
### „Jesteś moim aniołem”

Kiedy już myślisz, że wielokrotnie udało ci się znaleźć kres internetu i ogólnie ciężko cię zaskoczyć, bo widziałeś i słyszałeś już wiele, twój wzrok znienacka, poprzez nieopatrzne kliknięcie myszką, atakuje takie cudo jak piosenka Fishera z polskim Johnem Bravo na tak zwanym featuringu. O ile jestem w stanie załapać koncept piosenki (ot, disco polo) i zrozumieć, że obowiązek obowiązkiem jest i piosenka musi posiadać tekst,

nawet niezobowiązujący i ładnie się rymujący, przyznam szczerze, że z połączeniem obrazka z całym utworem już mam pewien kłopot. Niespecjalnie łapię, czy to Pan Rutkowski jest aniołem Pana Fishera, czy może na odwrót. A może Pan Rutkowski jest aniołem całego świata, gdy wyrywa go z łap różnej maści szubrawców. Pozytywy? Niech będzie, jeden jest. Pan Fisher w klipie ma koszulkę z logo „Muzyka Przeciwko Rasizmowi", co chwali się zawsze. No, ale może ja się nie znam, bo song ma (w chwili pisania) 700 tysięcy odsłon. I tu przypomina mi się stara studencka dykteryjka. – Stary, ty tego naprawdę słuchasz? – No co ty, to tylko dla beki. I tak 50 razy na jednej imprezie. Pzdr.

## MAREK SZUBRYT

### PINK FREUD
„Pink Freud Plays Autechre"

Spośród płyt wydanych przez Wojciecha Mazolewskiego w 2016 roku, a było ich aż trzy, właśnie „Pink Freud Plays Autechre" przypadło mi najbardziej do gustu. Winyl co prawda wyszedł jeszcze pod koniec 2015, ale data premiery CD przypada na styczeń 2016, pozwoliłem więc sobie o płycie wspomnieć, bo naprawdę warto. Pink Freud, w dużym uproszczeniu, łączy elektronikę z jazzem i robi to od wielu lat, tym razem jednak panowie na warsztat postanowili wziąć Anglików z Autechre. Rzecz, wydawałoby się, nie do pogodzenia, no bo jak połączyć jazz, nawet najnowocześniejszy, z IDM-ową elektroniką, w najbardziej bezkompromisowym wydaniu? Na pierwszy rzut oka języki zupełnie nie do przełożenia, jednak jak to w muzyce bywa, nawet najbardziej osobne światy można połączyć, a jedynym ograniczeniem jest wyobraźnia i talent muzyków. A tego Pink Freudom z pewnością nie brakuje. Koncertowe (co jest dodatkowym atutem) wydanie płyty z muzyką Autechre zachwyca i zdumiewa. Zapętlone partie poszczególnych instrumentów przeplatają się z kolejnymi melodiami, a całość zagrana jest z precyzją i polotem zarazem i po prostu świetnie brzmi. Oby tak dalej.

### JERZ IGOR
„Zimą"

Druga z płyt, która do zestawienia roku 2016 trafiła z pewną „gwiazdką". Powodem rzecz jasna nie jest wątpliwa wartość, ale zamieszanie z premierą płyty, bo podobnie jak w przypadku Pink Freud, za pomocą nośnika elektronicznego „Zimę" można było pobrać i posłuchać już w 2015 roku (jerzigor.bandcamp.com). Ale proszę mi wierzyć, gdyby nie było warto, żadnego artysty za uszy bym tu nie wciągał, bo raczej zmagamy się z klęską urodzaju niż z brakiem ciekawych propozycji. Tymczasem nie wspomnieć o Jerzym Igorze byłoby zwyczajną zbrodnią, bo od wielu lat nikt tak do najmłodszych w Polsce nie mówił. Przy okazji pierwszej płyty duetu, którą wyróżniłem w 2014 roku, wspominałem, że aż dziw, że przez lata taka luka nie została zagospodarowana. Oddano pole infantylnej, bezwartościowej papce, która z czasem przybrała postać bezrefleksyjnej sieczki. Jak ktoś się wysilił, to odkurzył Akademię Pana Kleksa, Małe Voo Voo oraz kilka innych ponadczasowych płyt, ale nowych propozycji było jak kot napłakał. „Zimą" w wykonaniu Jerzego Igora różni się od debiutu nie tylko wskazaną w tytule tematyką, ale także o wiele bardziej piosenkowym i przystępnym charakterem. Przystępnym dla najmłodszych, bo panowie komponują z myślą o dzieciach, ale zaręczam, że dużo przyjemności będą mieli także rodzice.

### DEVENDRA BANHART
„Ape in Marble Pink"

Niewykluczone, że mam słabość do twórczości Devendry. W sumie, jeśli zrobić rachunek sumienia, to więcej niż prawdopodobne, ale wydaje mi się, że „Ape in Marble Pink" broni się sama, a moje „lubię nie lubię" nie ma tu w ogóle znaczenia. Naczelny freak niezależnej amerykańskiej sceny muzycznej, bo świetnie przyjętej „Mali", wydał długo oczekiwany album, na którym znajdziecie delikatne akustyczne instrumenty, kameralne brzmienia, ale całość daleka jest od zamglonego melancholijnego zawodzenia. Do tego, jako że Banhart za nic ma zasady, usłyszeć też można kompozycje à la disco z lat siedemdziesiątych, mamy więc wszystko, za co Devendrę można

kochać: oryginalność, nieprzewidywalność i wykrystalizowane na poprzednim albumie „własne brzmienie”. „Ape in Marble Pink” słucha się wcześniej, a zapowiadający płytę singiel był zmyłką i kto tak jak ja uwierzył, że cały album będzie utrzymany w tak melancholijnym nastroju, został poważnie zaskoczony. Oby więcej takich niespodzianek!

## TACO HEMINGWAY
„Marmur”

W 2016 roku Taco Hemingway wydał aż dwa albumy, ale postanowiłem wspomnieć o tym „Marmurze”, który miał charakter tzw. długogrającej płyty. Fala pierwszej i niezwykle ogromnej fascynacji młodym raperem osłabła i jęki zachwytu ustąpiły z czasem miejsca jękom po prostu. A że nic nowego, wtórny, w sumie ten album taki sam jak poprzedni, w ogóle skończył się na „Kill’em all”, no i muzycznie to takie sobie jest, z laptopa... Zgadza się, DJ na koncertach nie jest obstawiony sprzętem, padami oraz mikserami i zdecydowanie stawia, że tak powiem, na minimalizm, ale z oceną czekałem do występu na żywo i koncert, który miałem okazję usłyszeć, brzmiał bardzo dobrze. Do tego sam Taco, który dykcję ma bardzo dobrą, zrozumiany był w 100%, co nie tylko na scenie hiphopowej, ale w ogóle nie zawsze jest standardem. Chcąc być sprawiedliwym, przyznam, że nie bez racji są zdania, że „Marmur” nie odkrywa Ameryki, a muzycznie to nie jest pierwsza liga i mistrzostwo świata, ale gdyby tak było, to panowie nazywaliby się Łona i Webber. Niemniej jednak każdemu z krytyków i sceptyków życzę takich „średnich płyt”. Więc, konkurencjo, do roboty, bo nie dość, że głos Taco Hemingwaya dociera tam, gdzie inni przez lata nie dali rady, to ma jeszcze do powiedzenia tyle, że ani się obejrzycie, a sami będziecie mówić „Takiem”. I to jest chyba największa zaleta i atut Filipa Szcześniaka: chcesz czy nie chcesz, frazy pełne obserwacji i porównań są tak celne, że mimowolnie wkradają się do języka. „Normalnie jesteś wzór dla Polek. Wzór dla Polek, tu masz aureolę”.

## BADBADNOTGOOD
„IV”

Śmiało można powiedzieć, że zespołowi BadBadNotGood wyróżnienie należy się za samą nazwę, ale oprócz tego Kanadyjczycy zapracowali jeszcze na pochwałę za ostatni album. „IV” – tu już polot w nazewnictwie znacznie mniejszy – to płyta, która ucieszy nieortodoksyjnych fanów jazzu, bo znaleźć na niej można mnóstwo odniesień do elektroniki, hip-hopu, czasem nieco matematycznych podziałów rytmicznych oraz bardzo obrazowej, nieco wręcz „filmowej” w swoim charakterze muzyki. Co więcej, album zawiera kilka tzw. featuringów, wśród których jest bezsprzecznie najlepszy, przejmujący „Time Moves Slow” z Samem Herringiem z Future Islands, który ma zadatki na hit, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jako że muzycy poznali się w collage’u uczącym grać jazz, to właśnie synkopowanej muzyki na „IV” najwięcej. W bardzo świeżym wydaniu, z najlepszymi odniesieniami do tradycji. Można?

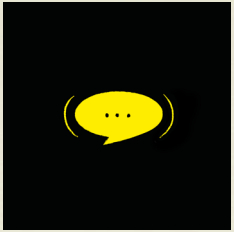


**DOBRE, BO POLSKIE**

## ŁONA I WEBBER
„Nawiasem mówiąc”

Dobrych albo bardzo dobrych płyt hiphopowych w naszym kraju w tym roku było sporo. W zestawieniu wspominamy o kilku, ale jakby się uprzeć, to jeszcze kilka tytułów można by tu dorzucić. Jednak obojętnie ile bym dokładał, to i tak król jest jeden i cała reszta może mu – pardon za wyrażenie – buty czyścić. Po „Cztery i pół” bałem się, że trudno będzie przeskoczyć tak wysoki poziom, ale słuchając „Nawiasem mówiąc”, nie mogłem wyjść z podziwu. Odczekałem chwilę, bo niejedna euforia z czasem traci na sile, ale gdzieżby: to rewelacyjna płyta. Celna, kąśliwa, zabawna, gorzka, przewrotna, po prostu rewelacyjna! Ale nie byłoby fair, gdybym piał z zachwytu tylko nad Adamem Łoną Zielińskim, bo przy „Nawiasem mówiąc” palce maczał także Webber. Choć częściej w takich przypadkach skupiamy się na warstwie lirycznej, szczególnie tak wybitnej, to nie wspomnieć o Webberze byłoby zbrodnią. Odpowiedzialny za muzykę Andrzej Mikosz wykonał fenomenalną robotę: podkłady są zróżnicowane, pełne smaczków i skrzą się od pomysłów. Taki duet nie ma sobie równych.

**DEBIUT ROKU**

## SHY ALBATROSS „Woman Blue”

Mówi się, że supergrupy nigdy nie wychodzą, a tak trzeba chyba traktować Shy Albatross, bo skład: Natalia Przybysz, Raphael Rogiński, Szymon Pękala i Hubert Zemler to – jak by nie patrzeć – postaci wybitne. A jednak muzykom udało się znaleźć wspólny język i kompromis, bo „Woman Blue” jest płytą piękną i ze wszech miar wyważoną, płytą, która zawiera porcję wyśmienicie skomponowanej i jeszcze piękniej zagranej muzyki. Pieśni drogi i niedoli, bo tak chyba najkrócej można określić „Woman Blue”, słucha się z przyjemnością i aż dziw bierze, że nie był to kolejny hit z Natalią Przybysz na czele. Może nie bez znaczenia jest język angielski, który wiedzie prym na całym albumie, ale jeśli to miałby być zarzut, to ja proszę takich jak najwięcej.

**ŻENUA ROKU**

Niestety, chcąc być fair, nie mogę inaczej. Uwielbiam Tymona Tymańskiego za Miłość i Kury, które wielbił będę po wsze czasy, uśmiechałem się też, słuchając Transistorsów. Sporo wybaczałem, przymknąłem czasem oko, ale występu w „Must Be The Music” pominąć nie mogę. Nie uważam wcale, że jest to hańbiące ot tak po prostu i wszyscy zasiadający w jury podobnych programów telewizyjnych zasługują na potępienie lub wyszydzenie. Bynajmniej. Ale jeśli się przez lata bezkompromisowo rugało na prawo i lewo, wytykając palcami tych, co „pajacują” za pieniądze Polsatu lub innych, mówiąc że robią z siebie głupków i poniżają ludzi? Jeśli na swoim blogu w latach, kiedy Facebook nawet nie istniał, w wywiadach, książkach, wszędzie się mówiło, że nie ma takiej szansy, bo to takie i owakie, to jednak warto było być konsekwentnym. Choć nie wiem, co jest bardziej przykre: zmiana stanowiska i sam występ czy to, że program zdjęto zaledwie po jednej serii.

## **SZAFA GRAJĄCA**, CZĘŚĆ 11:

# THE SCIENTISTS

## Swampland [Błoto]

*tekst: Sławomir Kuźnicki & Bartosz Suwiński*

Konia z rzędem temu, kto zna zespół The Scientists. Trudno się zresztą temu dziwić: w podstawowym okresie swojego istnienia (1978–1987; później zespół się reaktywował dwa razy i działa do dziś) ich sława nie wykraczała poza Antypody oraz – u schyłku działalności – Anglię. Trzeba też szczerze przyznać, że ze znajomością tzw. Aussie rocka, czyli podgatunku tej muzyki uprawianego w Australii, jest w Polsce dość słabo. Dodatkowo, The Scientists działali w obrębie szeroko rozumianego garażowego post-punka, a to przecież muzyka z założenia antykomercyjna, bezkompromisowa, często nieprzyjemna w odbiorze (słusznym tropem – nie tylko muzycznym, ale i geograficznym – mogącym dać jakie takie pojęcie o The Scientists jest twórczość wczesnego zespołu Nicka Cave'a, czyli The Birthday Party). A z nerwową i nieokrzesaną, brudną i psychodeliczną, podbluesowioną muzyką The Scientists warto się zapoznać. Zacząć można od utworu Swampland, znanego – w odmiennych wersjach – zarówno z epki Blood Red River (1983), jak i płyty długogrającej Weird Love (1986).

zasłona wieczornego słońca
zieleń wychodzi na żer
namorzyny w słonej wodzie
usta broczą winem

zamiast krwi
serce pompuje błoto
błoto w żyły
błoto w mózg

na końcu tej drogi
sierp tnie powietrze
dłoń chwyta za kark
zaciska pięść w twarz

zamiast krwi
serce pompuje błoto
błoto w płuca
błoto w mózg

droga prowadzi w las
grzęźnie na moczarach
dom jest właśnie tam
w bielmie nie-czasu

Every day at dusk when the sun fades
my mind returns to the everglades
a place of green mangroves and brine
shotguns and snakes, alligator wine
In my heart there's a place called swampland
nine parts water - one part sand
In my heart there's a place called swampland
nine parts water - one part sand
nobody knows so they never think to visit
where the atmosphere's so thick that you could kiss it
I've never seen copper heads darting from their graves
runnin round these old red rooms in decay- yeah
In my heart there's a place called swampland
nine parts water - one part sand
In my heart there's a place called swampland
nine parts water - one part sand
other people drive as fast as they can to get home
but me I take it slowly cruisin alone
you see, to them it's the home of the hungry piranha
but to me it is sheer nirvana

## OŚCIENIE

Jeż zamknął się w sobie i nastroszył igły, zbiegł w mrok. Gołębie zmoczone deszczem wystawiają głowy z gniazda będącego potężnym zlepkiem ptasich odchodów, poklejonych z resztkami i patykami, łapiąc krople wody o smaku dymu. Mokre skorupki po kasztanach są jak szwamki, w które wsiąka piana na rzece. Skiby chleba z dziurami w środku. Wielka kupa trzeci dzień z rzędu. Blaknie, traci zapach, trzyma kształt, maleje, jakby z każdą minutą wsiąkała w glebę, która przepuszcza ją  t a m.  Wieczorem osiem kaczek jak kamienie zbite z lotek i mięsa. Listopad, ościenie. Komu wiatr wydarł oddech? Komu woda zabrała brzeg? Komu mróz ściął powierzchnie słowa? Zawsze jest więcej pytań niż odpowiedzi, zawsze jest coś, czego nie zobaczysz o tej porze roku, kiedy truchła obleka twarda skóra, która nie przepuszcza deszczu. Nocą larwy wychodzą z ziemi, krety ryją tunele, przez które wpadnie księżyc i zawiśnie w ich korytarzach, na piaskowych ścianach, na których poplątane korzenie tworzą mozaikę brudnej magmy z sokami płynącymi z czubka drzewa po jego grób. Piasek na tej głębokości jest przyjemny i wilgotny, a na powierzchni zbity i twardy. Jest pancerzem, skorupą, która chroni chitynowe nasiona przed dziobami i pazurami, które grzebią w ziemi pulchnej, po deszczu. Powrozy wiatru związują ze sobą kości, w które eter tchnie życie. Woda rozleje się po okolicy, powstanie armia, całkiem, całkiem żywa. Spójrz, droga prowadzi w las, grzęźnie na moczarach. Zasłona wieczornego słońca opada na zieleń wychodzącą na żer. Zamiast krwi serce pompuje błoto. Na końcu tej drogi sierp tnie powietrze. A oni idą, idą, idą przed siebie. Przez błoto. Przez las. Potykają się o kości. Po sześciu, z sześciu dróżek, do sześciu różnych studni.

KONCERT

# COMA

4 LUTEGO

SALA KAMERALNA NCPP

KONCERT

# PIOTR ZIOŁA

**10.03.2017**

SALA KAMERALNA NCPP

koncert

# JAZZPOSPOLITA

31/03/2017

SALA KAMERALNA NCPP

# #13 grudzień 2016

**Redakcja:**
Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl
**Opracowanie, redakcja treści:** Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl
**Zespół redakcyjny:** Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki
**Okładka:** Adobe Stock
**Opracowanie graficzne, skład:** Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl
**Reklama:** Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl
**Współpraca:** Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński
**Korekta:** Krzysztof Szymczyk
**Nakład:** 2000 egzemplarzy
**Wydawca:**
Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273
„Muzyczny Informator Culturalny"
**MAGAZYN BEZPŁATNY**

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

MIC
muzyczny informator culturalny

www.ncpp.opole.pl facebook.com/ncpppl twitter.com/ncpp_opole

# REPERTUAR

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

| | |
|---|---|
| 13.01 | Quebonafide |
| 14.01 | WOŚP / Bethel + Chilli Crew |
| 20.01 | IRA |
| 24.01 | To Mało Powiedziane |
| 28.01 | Sorry Boys |
| 03.02 | L.A.S. |
| 04.02 | Coma |
| 10.02 | Acid Drinkers |
| 14.02 | To Mało Powiedziane |
| 17.02 | Fair Weather Friends + Jóga |

| | |
|---|---|
| 24.02 | Dezerter |
| 03.03 | Oberschlesien |
| 04.03 | Domowe Melodie |
| 10.03 | Piotr Zioła |
| 14.03 | To Mało Powiedziane |
| 15.03 | Rock Time |
| 18.03 | Tede |
| 24.03 | Łąki Łan |
| 25.03 | Hunter |
| 31.03 | Jazzpospolita |

www.ncpp.opole.pl facebook.com/ncpppl twitter.com/ncpp_opole

Sopelek®
smaczne lody od lat

lody własnej produkcji

www.sopelek.com.pl

SO! MUSIC

NOWA STRONA MUZYKI

WWW.SOMUSIC.PL FACEBOOK.COM/SOMUSICPL